Rok 12.

„Orędownik“ wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych.
Przedpłata kwartalna wynosi w mieście 2 mk., na poczcie 2 marki 25 fen.
Exemplarz sprzedaje się po 10 fen.
Rękopismów nie zwraca się, ale je się niszczy

# ORĘDOWNIK.

Nr. 163.

Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 15 fen. od wiersza petytowego
Ekspedycya Wiedeńska ulica numer 8 parter.
Listy nadsełać należy franco pod adresem Redakcya „Orędownika“ Poznań

Pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym.

Dziś: Wincentego a Paulo.
Jutro: Czesława w. p. P.

Poznań wtorek 19 lipca 1892.

Słońca wschód 4,2 Zachód 8,9
Księżyca wsch. rano Zach. 4,7

Redakcya i Ekspedycya Wiedeńska ulica nr. 8, parter.

**Poznań**, dnia 18 lipca.

— Piszą nam:

**Z Śremskiego.** Kościół parafialny w Sremie ma być wyreparowany i odmalowany, a prace te mają być polecone jakiemuś berlińskiemu artyście o łacińskiem nazwisku, który się tego podejmie naturalnie za dobrą opłatą. W dozorze kościelnym oszacowano koszta tych robót na 10 tysięcy marek. W dozorze kościelnym są zdania podzielone, więksżość jest za tem, żeby tak drogich robót nie wydawać Berlinczykom, a parafianie są mocno tem zaniepokojeni, że ich ciężko zapracowany grosz ma się dostać w obce ręce. Nie przeczę, że artysta z Berlina dać może lepszą gwarancyą od naszych malarzy, ale czyżby kościół śremski a w nim chwała Boska straciła co na tem, gdyby mniéj doskonały artysta kościół nasz malował.

Zresztą, jak mi mówią, u nas nie brak artystów i malarzy. Jest w Poznaniu znakomity malarz p. **Janicki**, który maluje dekoracye po wielkich salach sądowych, rejencyjnych, landszaftowych; musi się znać na swéj sztuce, boby go władze nie zapraszały. Jest malarz p. **Rudzki**, który w naszéj archidyecezyi już wiele kościołów malował, malował także farę poznańską. Jest prawdziwy artysta sztukator p. **Piotrowski** odnawiał ołtarz wielki w poznańskiéj katedrze, zbudował wielki ołtarz w Sobotce, prawdziwe pieścidełko w kościele wiejskim, co znawcy przyznają. Mamy naszego **Lewickiego**, rodaka z Pelplina, kształconego w Rzymie, malował on piękne obrazy w kościele w Wrześni, w Kamieniu w Pr. Zach. w Peplinie, przez lat 5 bawił na G. Śląsku i tam malował kościoły, a przed dwoma tygodniami jeszcze odnawiał stare i zniszczone portrety Biskupów i Arcybiskupów poznańskich z polecenia Najprzew. ks. Arcybiskupa Floryana. Jest więc komu oddać roboty malarskie w Sremie.

A zresztą jest w Poznaniu malarz **Prager**, Niemiec, katolik. Jeżeli nie mamy wziąść swojego, — czego za rzecz dobrą nie uważam, — toć weźmy Niemca tu ztąd, będzie przynajmniéj ta korzyść, że skontraktuje naszych malarzy do roboty, będzie ta korzyść, że nasi malarze — młodzież, widząc przykład Niemca na miejscu, będą się starali o postęp w sztuce. Jak weźmiemy Niemca czy z Berlina, czy z Monachium, sprowadzi swoich ludzi, zgarnie pieniądzie i pójdzie w świat.

Parafijanie są słusznie zaniepokojeni, bo do 20 bm. jest ostatni termin przyjmowania zgłoszeń, a na czem skończymy, jeżeli każdy większy zarobek będziemy daleko w świat wypuszczali.

Niechaj te słowa pobudzą do namysłu tych, którym sprawa ta w Sremie powierzoną została.

## Listy do „Orędownika“.

(N. N.) **Z pod Herny,** 17 lipca. Przypadkiem dostał mi się nr. 156 „Wielkopolanina“, w którym niejakiś korespondent z Herne pisze o stosunkach w Westfalii i o Rodakach błądzących w ciemności. Daléj pisze, że socyalizm szerzy się tu z wielką szybkością i do niego należy dużo naszych Rodaków z Księstwa. Puszczanie takich fałszywych alarmów po gazetach szkodzi naszemu polskiemu imieniowi, gdyż tak źle tutaj nie jest. Sądzimy, że szan. korespondent sam błądzi w ciemności i że się jeszcze nie zbliżył do światła, które go w okolo otacza. Uważa Westfalią jakoby drugą Brazylią, gdzie tysiące giną, pozbawieni światła religijnego i narodowego. Odpowiadam szan. korespondentowi, że człowiek, który tylko o Panu Bogu w domu nie zapomniał, przybywszy tu do Westfalii, zginąć wcale nie potrzebuje, bo go światło zewsząd otacza. Jesteśmy tu pomiędzy katolikami dobrze zabezpieczeni a księża tutejsi pracują wspólnie i idą ręka w rękę z ludem i każdego socyalistę z katolików i Polaków, któryby się mieszał w sprawy katolickie, pokazanoby palcem. Z drugiéj strony znamy się bie sami, mamy sieć Towarzystw polskich katolickich a i tam oświata się wyrabia, a że są wszystkie pod opieką Kościoła, żaden członek w sidła socyalistyczne lecieć nie potrzebuje. Kto zaś leci, to go tylko popchnąć, bo z nim żadnéj rady nie ma i węzły tak religijne, jak narodowe zerwane.

Niechże szan. korespondent tak znów o Westfalią się nie boi — myśmy są o to spokojni, mieszkamy tu już wiele lat w Westfalii, znamy wszystkie Towarzystwa polskie i jestem przekonany, że niejeden z naszych, mając dobre wzory przed sobą, dopiero tu na katolika i Polaka się wyrabia. Co się zaś tyczy Herny, są tam dwa polskie Towarzystwa, Tow. św. Stanisława w Hernie i Tow. św. Kaźmierza w Baukau, zaledwie o 1000 kroków jedno od drugiego oddalone, a mam to przekonanie, że niechby się tylko u nich jaki socyalny demokrata pokazał, daliby sobie z nim wnet radę.

Znam domy i familie w Herne i okolicy a ludzi stami po nazwisku i mogę śmiało powiedzieć, że korespondent sam rzucony w świat, więcéj powinien mieć kłopotu o siebie, aby na początku sam nie zginął, a zaś o drugich niechaj się nie kłopoce, bo jak się przekonuję, nie ma jeszcze wcale o Westfalii i stosunkach tutejszych wyobrażenia.

## Nowiny polityczne.

— Niemcy w **Afryce** ponieśli znów wielką klęskę. Z krajowcami stoczyli w tych dniach 2 walne bitwy. Obydwie bitwy przegrali i stracili silną fortecę Kilimandżaro. Nie na tem jednak jeszcze koniec. Donoszą, że i w prowincyi Unamjembe krajowcy zbroją się na seryo i gotują się do powstania.

Berlińskie dzienniki podnoszą z powodu tego formalny alarm i piszą, że trzeba koniecznie temu zaradzić. W przeciągu bardzo krótkiego czasu Niemcy stracili w Afryce 3 ważne fortece. Nic więc dziwnego, że po takich przegranych walkach krajowcy lekceważą sobie Niemców i gotują się w nowéj, dotychczas spokojnéj prowincyi, do nowego buntu w nadziei, że znów odniosą zwysięztwo i Niemców wyprą z prowincyi.

Wśród Niemców w Afryce ma panować ogromne zaniepokojenie, czekają oni z dnia na dzień na pomoc, a tu tymczasem zamiast pomocy ponoszą ciągle nowe klęski.

— **O rozruchach w Astrachanie** nadeszły już teraz bliższe szczegóły.

Zbiegowisko zaczęło się przed pewnym domem na placu Ziemikowskim, ponieważ lekarz z felczerem chcieli ułożyć pewną chorą na cholerę na ratunkowym wozie cholerycznym, a rodzina opór temu stawiała. Szybko wzrastający tłum okazywał wielkie wzburzenie. Lekarz zręcznie się oddalił a felczer został przy choréj. Tłum nie dał zabierać choréj; felczera straszni do krwi pobito, a wóz ratunkowy zniszczono. „Lekarze nas trują“ — wołano w tłumie — „bijmy lekarzy!“

Zbiegowisko coraz bardziéj wzrastało; w pobliżu natrafiono drugi wóz ratunkowy i także go doszczętnie zniszczono i wrzucono do wody. Pewien kelner z kasyna chciał uspokajać tłum i przemawiał w obronie lekarzy; lecz go za to porządnie obito. Tymczasem tłum udał się ku środkowi miasta i po drodze rzucano kamieniami na każdego porządnie ubranego człowieka, gdyż widziano w nim lekarza, albo przyjaciela lekarzy. Co chwila wznoszono okrzyki „Precz z lekarzami! Bijcie lekarzy!“

Oddział kozaków z wielką trudnością rozprószył tłum; lecz natychmiast potworzyły się nowe gruby. Ktoś rzucił zdanie, że nie ma wcale cholery, że lekarze tylko wymyślili cholerę i trują ludność. Nagle usłyszano okrzyk: „Zburzyć szpital!“ — i tłumy pociągnęły ku szpitalowi. Policya i wojsko rozproszyły znów tłumy i około godz. 2 po południu zdawało się już, że rozruchy uśmierzone, lecz w krótce znowu tłum się zaczął gromadzić i otoczono szpital. Tłum wdarł się na podwórze szpitalne i natychmiast rozpędzono robotników, zatrudnionych przy barakach cholerycznych. Służbę szpitalną łżono i bito, chorych powyciągano ze szpitala i częścią oddano krewnym, częścią zaś umieszczono na ulicy; następnie ekscedenci udali się na górę do sal szpitalnych, — trudno opisać co się tam działo. Lekarzy do krwi pobito; pierwszą ofiarą był doktór Sokołow, któremu kilkakrotnie czaszkę rozpłatano... Wszelkie usiłowania władz, aby uspokoić tłum, pozostały bezowocne; groźby również nie pomogły. Jeden z felczerów wyrwał się z rąk oprawców i wyskoczył przez okno, lecz daremnie; po raz drugi dostał się w ręce rozjuszonego tłumu i do omdlenia pobity został. Wszystkie meble i sprzęty szpitalne zostały zniszczone, lekarstwa i środki dezynfekcyjne również zniszczone.

Tymczasem coraz bardziéj nieprawdopodobne pogłoski szerzyły się w tłumie; mówiono, że lekarze umyślnie trują chorych, że żywych jeszcze kładą do trumny i grzebią. „Spalmy szpital!“ — wołano w tłumie — i niebawem wszystkie zabudowania szpitalne stanęły w płomieniach. O ratunku nie mogło być mowy, ponieważ tłumy, otaczające szpital, w szalonéj radości przypatrywały się pożarowi, rzucając czapki do góry i wrzeszcząc: „hura!“ a gdy nadbiegła straż ogniowa, obrzucono ją kamieniami i do ratunku nie dopuszczono. Pożar trwał przez całą noc do rana. Trumny, bieliznę szpitalną i łóżka powrzucano w ogień.

W przekonaniu, że chorzy otruci przez lekarzy, tłum dał im surowego mleka do picia, co naturalnie nie mogło wyjść na zdrowie chorym na cholerę — to też kilku z nich natychmiast umarło.

Podczas gdy szpital gorzał, jedna banda, uzbrojona w kije i kamienie, napadła na gmach policyi i częścią go zniszczyła; zburzono także kilka sklepów z owocami i żywnością i przemocą otwarto szynki, a gospoda, niedawno założona dla ludu, gdzie sprzedawano tylko herbatę, została zburzona.

Nazajutrz otoczono dom gubernatora. Tłum okazywał wielkie wzburzenie. Gubernator wyszedł na balkon i zapytał zgromadzonych, czego sobie życzą.

— Dlaczego grzebią żywych? — wołano z tłumu. — Dlaczego lekarze trują chorych?

Gubernator chciał spokojnie przemówić do tłumu, ale nie pozwolono na to. Coraz większy hałas się podnosił i zaczęto już wybijać szyby kamieniami w mieszkaniu gubernatora. Gubernator użył próśb i gróźb — nic nie pomogło. Wtedy dano rozkaz wojsku, aby użyło broni palnéj. Pierwszy raz żołnierze strzelili po nad głowami tłumu. Nikt nie ruszył się z miejsca. Dopiero druga salwa przerzedziła tłum, i wtedy zaczął się rozpraszać.

Około godziny 11 tłum się rozprószył, ale i kozacy musieli się pochować, bo gdzie spotkano grupę kozaków, rzucano jeszcze do nich kamieniami. Dopiero popołudniu spokój został przywrócony; sklepy były jednakże jeszcze przez cały dzień pozamykane, i liczne zbrojne patrole chodziły po mieście. Dzienniki miejscowe w dniu tym nie wyszły.

— Liberalne-żydowskie pisma nawołują do

składek publicznych na rodzinę rzezaka B u s c h o f f a. Dotychczas zebrano wedle tych pism już przeszło 2000 marek.

## Lutnia Kościańska.

**Kościan**, w lipcu. (Dokończenie.) O godz. 1½ z południa zatrąbiono do wymarszu do pobliskiego lasku miejskiego. Pochód, jakiego Kościan długie lata nie widział, wyruszył przy dźwiękach polskiéj nuty przez ulicę. Po drodze sypały się z okien rozliczne bukiety przez rozentuzyazmowaną publiczność rzucane. W lasku nastąpiło publiczne przywitanie Central. komitetu wśród gromkich okrzyków. Z Komitetu tego stawili się pp. dyrektor Dembiński z Poznania, mecenas Czypicki z Koźmina, Trunkowski i Nawrocki z Poznania, oraz należący także do Komitetu prezes tutejszéj „Lutni.“ Wkrótce potem rozpoczęły się gry. Lasek zaczął się zaludniać publicznością z Kościana i okolicy. Tłumy dochodzące do 2000 rozchodziły się po lasku wśród ogólnéj niczem niezakłóconéj radości. W ogóle porządek panował wzorowy. Na tem miejscu zaznaczyć muszę, iż cała ta zabawa miała wyłącznie charakter m i e j s k i i l u d o w y. Brak wszelkiego poparcia, który już w początkach urządzenia zabawy i uroczystości dawał się mocno we znaki, i teraz okazał się najwidoczniej! Inteligencyi z latarką szukać było można, ale o tem lepiéj milczeć. Duchowieństwa też nie było, pewnie z powodu święta. Za to tem żywszą wdzięczność czuliśmy dla ks. Dziegieckiego, założyciela „Lutni“, że nawet z daleka do nas przybył. Pogoda panowała jakby zamówiona.

O godz. 4 z poł. rozpoczęła kapela czempińska koncert, który przeciągnął się do godz. 5. O téjże godzinie rozpoczął się popis śpiewaków pod dyrekcyą znanego z swego talentu i z swéj wziętości p. dyr. Dembińskiego z Poznania, równocześnie rozpoczęła się gra fantowa, która uroczystości wiele życia dodawała. W pauzach pomiędzy śpiewami odczytał prezes „Lutni“ publicznie nadeszłe życzenia telegraficzne i listowne.

Ogólne chóry przeplatane były programowym koncertem kapeli. Trudno tutaj ocenić komu należała się palma pierwszeństwa. W chórach ogólnych wykonano „Pamiętne dawne Lechity“, Dobrzyńskiego; „Do pieśni“, Dembińskiego i „Krakowiaka“, Moniuszki. Śpiewy ogólne udały się bardzo dobrze. Również zyskały oklaski śpiewy popisowe pojedynczych Towarzystw. Publiczność zachwycona zniewoliła śpiewaków do częstego powtarzania produkowanych śpiewów. Jeżeli piszącemu te słowa jako lajkowi wolno krytykować śpiewy, to wyznać musi, iż na czele popisu stanęło i najlepszym wykonaniem odznaczyło się Koło śpiewackie poznańskie. Reszta Towarzystw także bardzo dobrze się wywiązała z swego zadania. Najwięcéj oklasków zebrał „Chór strzelców“ wykonany przez Poznań i „Hulanka“ i „Hej flisacza dziatwo“ wykonane przez tutejszą „Lutnią“, z których każdy numer był dwakrotnie śpiewany.

Śrem, Grodzisk i Jeżyce, biorąc wzgląd na słabsze swe siły, które w Kościanie stanęły do popisu, niemniéj wywiązały się dobrze. Za przykład posłużyć może p. mecenas Czypicki z Koźmina, który w śpiewach chórowych czynny wziął udział. Przy niezakłóconéj żadnym swarem wesołości bawiono się ochoczo i po wykonaniu śpiewów. O godz. 7 i pół wieczorem rozpoczęły się tańce. O godz. 9 wieczorem ruszył pochód blizko 2 tysiączny przy blasku pochodni i lampionów oraz czysto polskiéj nucie ze sztandarami z powrotem do miasta. Setki świateł oświecały miasto i pochód. Po przejściu przez kilka ulic miasta naszego stanął cały orszak głowa przy głowie przed mieszkaniem p. dr. Szczygłowskiego, gdzie sztandar „Lutni“ kościańskiéj miał być złożony. Nie obyło się i tutaj bez serdecznych wiwatów i toastów. Prezes tutejszego Koła śpiewackiego podniósł powtórnie ważność i cel śpiewu rodzimego, przyrzekając stać i nadal silnie przy obranym kierunku. Okrzyk: „Niech żyje pieśń rodzima“, przyjęto burzą oklasków i powtórzono go kilkakrotnie. Wśród okrzyków miano już ruszyć do ogrodu hotelu „Viktoryi“, gdy naraz Towarzystwo śpiewackie Poznańskie zaintonowało chórem pieśń wieczorną: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Z radością w sercu i skupieniem ducha z odkrytemi głowami wśród ogólnéj ciszy wysłuchała publiczność téj pięknéj pieśni, którą całą odśpiewano. Uroczysty ten moment, za który inicyatorom szczere należy się podziękowanie, zakończył jeden akt uroczystości.

Poczem udano się do ogrodu hotelu „Victoria“; tutaj odpalono piękne sztuczne ognie. Część publiczności pozostała w ogrodzie, druga część przeniosła się do sali i przybyłych lokalów, gdzie się rozpoczęły tańce. Poloneza wyprowadził założyciel „Lutni“ tutejszéj. Bawiono się ochoczo do godziny 3. zrana.

Cześć i podzięka wszystkim na tem miejscu, którzy bądź to pracą swoją, bądź to obecnością swoją przyczynili się do uświetnienia uroczystości. Te kilka godzin wspólnego pobytu zapewne niewygasną w pamięci uczestników, a obywatelstwo kościańskie twierdzi, iż od lat bardzo wielu tak wspaniałej uroczystości nie widziało.

Obchód kościański niechaj będzie pobudką dla innych miast, niechaj zbudzi społeczeństwo nasze po mniejszych miastach ze snu, niechaj będzie przykładem łączności i rozumnego pojmowania spraw naszych! W łączności z Komitetem Centralnym Kół śpiewackich możemy dożyć jeszcze niejednéj tak wspaniałéj uroczystości.

Więc, p e r a s p e r a a d a s p r a — choć trudność niejedną zwalczyć będzie nam trzeba, jednak naprzód i naprzód!

## Wiadomości miejscowe i potoczne

Poznań, 18 lipca.

— * **Teatr polski w Chełmnie.** Dziś w poniedziałek komedya: „Kraj“

— * **„Posener Ztg.“** rozwodzi się w dłuższym artykule o obecnem położeniu nauczycieli niemieckiéj narodowości w Poznańskiem, i pisze, że kiedy przed pięciu laty rządowi wydawało się, że germanizacya w dzielnicach polskich nie dość szybko postępuje, wtedy z głębi Niemiec sprowadzano nauczycieli Niemców i przyrzekano im nadzwyczajne dodatki, nauczycieli Polaków zaś przesadzano do prowincyi zachodnich. Z powodu takich przyrzeczeń bardzo wielu nauczycieli Niemców porzucało rodzinne swe strony i przybywało do prowincyi polskich, ponieważ sądzili, że będą mieli tutaj poparcie rządowe i skutkiem tego będzie powodziło się im lepiéj. Nadzieje nauczycieli Niemców osiadły jednak na piasku. Nadzwyczajnych dodatków dawano im stósunkowo bardzo mało, a nadto nauczyciele Niemcy mają bardzo ciężkie zadanie w dzielnicach polskich. Rząd nie chce powiększyć pensyi nauczycielowi Niemcowi tak długo, dopóki tenże nie wykaże, że włada językiem polskim.

Położenie to nauczycieli Niemców opisuje w „Posenerce“ jakiś nauczyciel Niemiec i tak pisze daléj, że nigdy nie zapalał się zanadto do germanizowania dzielnic polskich, ale obecne postępowanie rządu jest dlań wręcz niepojętem. Za rządów Bismarka i później, dopóki ministrem oświaty nie został hr. Zedlitz, obawiano się, ażeby nauczyciele tak w szkole jak i w towarzystwach nie posługiwali się językiem polskim. Tymczasem teraz, gdy dla Polaków zawiał wiatr łagodniejszy, żąda się od razu od nauczycieli Niemców, którzy na żądanie rządu zawsze zdala się trzymali od Polaków i polskich towarzystw, ażeby nauczyli się po polsku. Zkąd mieli się nauczyciele Niemcy nauczyć polskiego języka i w jaki sposób mają teraz się nauczyć? Będą oni musieli teraz starać się o przyjaźń ludności polskiéj, z którą żyli dotychczas w pewnéj nieprzyjaźni. Niepojętem jest też, dla czego rząd nauczycieli Polaków, których przeniesiono do prowincyi niemieckich, nie sprowadzi teraz napowrót do dzielnic polskich.

Daléj ubolewa ów nauczyciel, że jeźli teraz rząd przeszedł od razu do uznania, że nauka religii winna być dzieciom polskim udzielaną w języku polskim, to powinien dać czas nauczycielom Niem-

# ZA OJCA.

20)

(Ciąg dalszy).

— Oryginalna myśl! zawołała Iwona.

— Toby się pani podobało? W takim razie musimy ten zamiar doprowadzić do skutku. Poznałem niedawno w Londynie mego dalekiego kuzyna, malarza, p. Seton Lovell, członka akademii królewskiéj. Zaproszę go razem z żoną na kilka tygodni: on nam ułoży żywe obrazy, ona zaś zastąpi gospodynią domu.

— Doskonale! zawołała ucieszona Iwona, która bardzo mało miała na wsi okazyi do rozrywek towarzyskich.

— Naturalnie, liczę na obie panie i na majora; mam nadzieję, że i pan Cumnor wróci do tego czasu z Londynu

— Na Gustawa pan nie licz, wątpię czy będzie, ale my z pewnością przyjedziemy, oświadczyła pani Agnieszka.

Po naradzie oznaczono dzień, w którym goście mieli się zebrać w Dallithwaythe. Lord Raunsleigh miał zaraz jechać do Londynu, ażeby się porozumieć z panem Seton Lovell.

IV.

— Proszę pana, czy mogę pójść do staréj Salomei? zawołał Leonek, wpadając do pokoju szkolnego.

— Przedewszystkiem zamknij drzwi, mój chłopcze, odrzekł Herbert, który pisał właśnie list do Olimpii.

Było to po drugiem śniadaniu i zwykle o téj porze nauczyciel z uczniem chodzili na spacer, ale tego dnia deszcz ulewny padał rano i Herbert skorzystał z tego, żeby napisać list do narzeczonéj, pozwalając Leonkowi bawić się z piastunką.

Dwa tygodnie minęły od jego przyjazdu; wbrew oczekiwaniu praca nauczycielska wcale mu się nie przykrzyła. Leonek był niezmiernie rozpieszczony i bardzo swywolny, ale raz przekonawszy się, że ani łzy, ani krzyki, ani tupanie nogami żadnego na Herbercie nie sprawiały wrażenia, że rozkaz wydany przez niego musiał być spełniony, że obiecana kara nigdy go nie minęła, zaprzestał swoich zwykłych wybryków i całem sercem przylgnął do swego nauczyciela. Herbert także polubił bystre chłopię, na którem tak prędko potrafił wpływ pozyskać; było im bardzo dobrze razem — przy nauce i zabawie. Za to w towarzystwie pan Herbert był zawsze sztywny i milczący, pokazywał się przy stole jedynie, mówił tyle tylko, ile wymagała przyzwoitość, wieczory zaś spędzał u siebie, wymawiając się, że jest to jedyna chwila, w któréj może czytać swobodnie. Zachowanie się jego dziwiło i bolało Iwonę, utwierdzając ją w przekonaniu, że pan Walrond od razu powziął do niéj niechęć. Powierzchowność Herberta silne na niéj sprawiła wrażenie; przeczuwała w nim ofiarę losu i w romantycznéj swojéj główce układała różne przejścia, jakich w życiu doznawał. Była pewna, że musiał wiele wycierpiéć i pragnęła gorąco przynieść mu ulgę, pocieszyć, rozerwać, dać dowody współczucia i życzliwości. Niestety! wszystkie jéj zamiary rozbiły się o lodowatą obojętność Herberta.

— Czy mogę pójść do staréj Salomei? — przymilał się Leonek, zarzucając mu ręce na szyję.

— Któż to taki?

— To ciotka mojéj piastunki, bardzo dobra kobieta.

— Czy siostra twoja pozwala ci ją odwiedzać?

— Zaraz ją tu sprowadzę; może się pan sam jéj zapytać.

Wybiegł, nie czekając odpowiedzi Herberta, i za chwilę powrócił razem z Iwoną.

— Przepraszam panią, ale chciałbym wiedzieć, czy Leonkowi wolno odwiedzać starą Salomeą? — rzekł Herbert, wstając.

— Owszem, często tam chodzi.

— A więc idź się ubrać, chłopcze, sam cię zaprowadzę.

— Leonek klasnął w ręce z radości i wybiegł spiesznie. Herbert i Iwona zostali sami.

— Zapewne Salomea jest dawną sługą państwa? — zapytał Herbert.

— Nie, ona tu służyła przedtem, kiedy Carolside należało do jakiegoś pułkownika Iredell, który sfałszował testament mojego dziadka i przez kilka lat tu mieszkał. Salomea była piastunką jego synka.

Młodzieniec czuł, że mu serce żywiéj bić zaczyna.

— I cóż się stało z pułkownikiem Iredell i jego synem? — zagadnął z udaną obojętnością.

— Obaj nie żyją. Pułkownik jest pochowany na cmentarzu w Carolside.

Długie milczenie nastało po tych słowach, przerwało je dopiero wejście Leonka.

Salomea Thurkill mieszkała na wsi, w ładnym murowanym domku; była to kobieta sześćdziesięciu ośmiu lat, nieco zgarbiona, ale zdrowa i rześka. Na widok Herberta, który wszedł z Leonkiem, zaczęła drżeć i, wpatrując się w niego osłupiałym wzrokiem, wyjąkała z trudnością:

— Miłosierny Boże! Ktoż to jest?

— To mój nauczyciel, pan Walrond — zawołał Leonek — przyszliśmy do pani na herbatę.

— To pułkownik Iredell! — krzyknęła przerażona kobieta — przyszedł z tamtego świata, żeby mi czynić wymówki. Jam niewinna, przysięgam! Idź pan i rozpraw się z Gustawem Cumnor. To on winien wszystkiemu!

Pani mnie bierzesz za kogo innego — rzekł Herbert — nazywam się Walrond i niedawno jestem w Carolside.

(Ciąg dalszy nastąpi)

com do nauczenia się języka polskiego. Rząd powinien się postarać o zmianę obecnego i tak nieznóśnego położenia nauczycieli Niemców w dzielnicach polskich.

Jeźli rząd teraz inaczéj gra, aniżeli przed 5 laty, to mu to jest wolno; nie może jednak żądać, ażeby nauczyciele Niemcy od razu nauczyli się tańczyć podług téj nowéj muzyki.

Ta pisze nauczyciel Niemiec w tutejszéj „Posenerce“. Mamy znów dowód, jak przewrotną była polityka Bismarka względem Polaków. Nie przyniosła ona korzyści nawet samym Niemcom.

— * **Dowiadujemy** się, pisze „Dziennik“, że magistrat tutejszy udzielił konsensu p. Waleryi P u f f k e na założenie szkoły freblowskiéj. Szkoła ta ma być już w niedługim czasie otwartą. Szkoła taka jest rzeczywiście potrzebną w mieście naszem.

— * **Zeszłego** piątku wieczorem około godz. 10 wtargnął jakiś robotnik do pomieszkania pewnego obywatela, mieszkającego na Osrówku i pomimo kilkakrotnego zawezwania gospodarza, ażeby wyszedł z pomieszkania, nie chciał tego w żaden sposób uczynić. Przywołano wtedy do pomocy 2 stróżów, ale i tym stawił robotnik energiczny opór i nie pozwolił się aresztować. Przybiegł wreszcie i policyant, na którego robotnik się rzucił i podarł na nim mundur. Dopiero, gdy przywołano drugiego policyanta, udało się robotnika pokonać i odprowadzić go do więzienia.

— * **Pamiętać**! Kto nie ustąpi z peronu na dworcach kolei żelaznej na wezwanie zawiadowcy stacyi, ten karany być może za naruszenie spokoju domowego (Hausfriedensbruch).

— * **Jarmarki** na remonty 3 letnie a w wyjątkowych razach i 4-letnie w obwodzie rejencyjnym poznańskim są ustanowione w następujących miastach: w Śremie 8 sierpnia, w Nowemmieście 16 sierpnia, w Środzie 17 sierpnia.

— * **Oborniki**. W czasie od 1 kwietnia do końca czerwca br. wyemigrowało z powiatu tutejszego razem 65 rodzin a 165 osób i to 1 osoba do Australii, 155 osób do Ameryki i 10 do Polski. O tym samym czasie w roku 1890 wyemigrowało z powiatu naszego razem 114 osób.

— * **Miłosław**. Wielkie wakacye w tutejszych szkołach ludowych rozpoczęły się dziś w poniedziałek 18 bm. a ukończą się w sobotę 6 sierpnia.

— * **Kiączyn**, czy „Kiontschin“? Wiadomo, że p. Łubieńskiemu, dziedzicowi w Kiączynie, wytoczono już od roku przeszło proces o to, że na tabliczkach u wozów swych miał wypisaną nazwę swéj wsi „Kiączyn“. Rzecz się tak miała. Policya w Szamotułach nadesłała panu Ł. mandat karny i żądała, ażeby na tabliczkach u wozów zmienił Kiączyn na „Kiontschin“, ponieważ nazwa Kiączyn jest dla Niemców niezrozumiałą.

Przeciwko temu mandatowi p. Łubieński założył protest do sądu okręgowego w Szamotułach, który uwolnił go też od kary. Prokurator zaprotestował jednak przeciwko wyrokowi sądu okręgowego i z powodu tego sprawa przyszła przed poznańską Izbę karną, która skazała pana Ł. na 2 m. kary.

Pan Łubieński wniósł wtedy o rewizyą wyroku do kamergerychtu a ten zniósł wyrok Izby karnéj i nakazał jéj się rozpatrzeć i zbadać, jakiem właściwie jest nazwisko wsi. Izba karna zażądała wtedy od 6 władz poświadczenia, jak się nazywa wieś właściwie. Cztery z tych władz odpowiedziały, że wieś nazywa się „Kiontschin“, natomiast tutejsza rejencya i sąd ziemiański w Szamotułach doniosły, że wieś nie „Kiontschin“, ale Kiączyn się nazywa.

Na mocy tego sąd orzekł w tych dniach, że wieś nazywa się Kiączyn i uwolnił obwinionego o fałszowanie nazwiska wsi i od zapłacenia kosztów.

Przed mniéj więcéj 10 latmi lantratura w Szamotułach przekręciła nazwę Kiączyn na „Kiontschin“, a gdy przeciw temu pan Ł. zrobił zażalenie do ministra, otrzymał odpowiedź, że tu nie chodzi o zmianę nazwy, ale o ułatwienie w przeczytaniu i napisaniu jéj dla Niemców. Zmiana ta miała być tylko ułatwieniem w pisowni dla władz urzędowych, ale nie dla ogółu publiczności.

— * **Wolsztyn**. W pobliskiej wsi Wielkich Narożnikach powiesił się robotnik Markwart w stodole. Co popchnęło go do samobójstwa, nie wiadomo.

W ostatnim czasie płacono tutaj na targu za 100 kilogramów pszenicy 20,00 m., żyta 16,00 m., jęczmienia 15,50 m., owsa 16,50 m., grochu 24,00 m., kartofli 4,00 m., za 1 kilogram masła 2,00 m., za kopę jéj 2,40 m.

— * **Mikstat**. Pewien tutejszy 12-letni chłopiec wdrapał się przed kilku dniami na wysoki płot, z którego spadł na wielki kamień i tak się poranił, że w kilka chwil potem skonał w strasznych boleściach.

— * **Ujście**. Tutejszy ślusarz M. powiesił się w tych dniach w tutejszym lesie poblizkim. Nie wiadomo na razie, co pochnęło go do samobójstwa.

— * **Wieś** Dębowąłąkę w powiecie wąbrzeskim w Pr. Zachodnich, należącą dawniéj do rodziny Działyńskich a w ostatnim czasie do rodziny Hennig, kupiła, jak piszą niemieckie gazety, Komisya kolonizacyjna.

— * **Obawa** przed cholerą opanowała niektóre wsie nadgraniczne w Prusach Wschodnich w takiej mierze, że mieszkańcy zaniedbują się zupełnie w robocie i całemi wsiami wynoszą się zamierzają w świat daleki. Z innych okolic nadgranicznych już też o poczynającem się zalęknieniu dochodzą posłuchy. Rząd zapewne wnet przedsięweźmie zabezpieczenia, które mieszkańców przekonają o czujnéj i dbałéj nad nimi opiece.

— * **Miodobrania** spodziewają się pszczelarze dość obfitego w bieżącym roku. Z kwiecia akacyi urobiły pszczoły w tym roku wiele czystego, kryształowego miodu, a teraz kwitnienie lipy przysługiwało im obficie i długo. Prawda, że zimny maj powstrzymał rojenie, ale obecnie wiele się jeszcze poprawić może.

— * **Z Lidzbarka**. Na odpowiedzialność „Gesselligera“ podajemy, co pismo to pisze o zajściu, prawie do niepojęcia, z Nowego dworu w Pr. Zachod. Leżała tam w połogu żona robotnika, którego nie było w domu. Dowiedział się o tem przełożony gminy i posłał natychmiast po akuszerkę, którą też o 7 rano zwieziono. Zażądała ona pomocy lekarza. Przełożony gminy posłał po niego natychmiast. Wysłany woźnica zastał obu lekarzy w lokalu kupca K. Jeden z lekarzy powiedział, że pojedzie za godzinę, zjadłszy obiad. Po upływie godziny zapytano woźnicę, czy ma z sobą pieniądze. Nie miał, ale oświadczył, że gmina zapłaci, bo ta furmankę przysłała. Odpowiedziano mu, że ma się wpierw postarać o 30 marek. Apteka nie chciała również wydać lekarstwa za 4,60 m., które lekarz zapisał. Furmanka musiała wrócić bez lekarza. Chora była w największem niebezpieczeństwie. Wysłano drugą furmankę, dając pieniądze na lekarza i aptekę. O czwartéj po południu przybył lekarz i oświadczył, że potrzeba mu pomocy drugiego. Wysłano więc po drugiego lekarza. Ten przybył o 10 wieczorem. Nim się przecież dostał do choréj, popadł w kłótnię z osobami przed domem stojącemi, a przy chorej jeszcze był wzburzony, co wcale na biedaczkę uspakajająco nie działało. Pomoc lekarska pozostała bez skutku. Nad ranem kobieta umarła. Dziecko nie żywe. Rzecz ta wymaga koniecznie wyjaśnienia, bo — jak przedstawiona — oburzająca jest nad wszelki wyraz.

— * **Wrocław**. Niedaleko stacyi kolejowéj Löwen wykoleił się w nocy z 16 na 17 bm. pociąg osobowy. Wywróciły się 2 wagony. Na pociąg wykolejony najechał inny pociąg, z powodu czego zostało uszkodzonych 14 wagonów, a 8 osób niebezpiecznie poranionych. Rannych odwieziono do szpitala w Wrocławiu.

---

Krzywiń 16 lipca. Sprostowanie korespondencyi w rubryce wiadomości potocznych w „Orędowniku“ nr. 160 z dnia 15 lipca rb. „z Krzywinia“.

Widocznie nie bardzo życzliwy korespondent tutejszemu Towarzystwu Przemysłowemu donosił do „Posenerki“, iż zeszłéj niedzieli odbyło polskie Towarzystwo Przemysłowe w Krzywiniu zabawę letnią, udając się wieczorem do lasu.

Myli się korespondent, ponieważ nie w niedzielę lecz w poniedziałek d. 11 bm. i nie wieczorem, lecz po południu o godz. 1 i pół miał miejsce wymarsz do lasu w Czerwonéj wsi. Zabawa udała się świetnie z przyczyny sprzyjającéj pogody, bawiono się raźno aż do godziny 10 wieczorem, poczem powrót w marszu do miasta.

Niezawodnie raziły owego korespondenta śpiewy czysto polskie, podczas marszu w pauzach, przy wypoczynku muzyki w drodze do miasta; dla tego w ten sposób charakteryzuje niewłaściwie członków tutejszego Tow. Przemysłowego. Jeżeli przeto trudno mu było odróżnić niedzieli od poniedziałku, — toć też nic dziwnego, iż czysto polskich melodyi odróżnić nie mógł, prawdopodobnie pod wpływem użycia nadmiar płynów rozweselających i pewnie mu szumiały wówczas w uszach melodye, które najwięcéj lubi. Być też może, że sam gdzieś na uboczu z swymi kompanami wyśpiewywał je, korzystając ze swobód, których Towarzystwo żadnemu przybyszowi nie odmawiało. Za tę jednak uprzejmość naszą nie powinien pismak „Posenerki“ w ten sposób nam się wywdzięczać, że rani po gazetach nasze uczucia. Powyższe sprostowanie raczy Szanowna Redakcya zamieścić jako prawdziwy stan rzeczy, także miłoby mi było, gdyby i inne pisma to powtórzyć raczyły. — Jeden z przemysłowców w Krzywiniu.

## Poczta Redakcyi.

— Pod Białki. Panu W. P. O tych jarmarkach zawsze piszemy, skoro jest o nich wiadomość; pamy na to baczną uwagę. — Co do owych „oszczędności“ najzupełniejszą racyą masz Pan, ale się już o tem rozpisywać nie będziemy, domyślisz się Pan, dla czego.

— Panu B. N..... we Wrześni. Numera „Orędownika“ z końca lutego z ogłoszeniem Towarzysta wysłaliśmy już raz w środę, dziś rano wysłaliśmy takowe drugi raz.

## Rozmaitosci.

— * **Straszne nieszczęście** wydarzyło się w tych dniach we Francyi w departamencie Wyższéj Sebaudyi w pobliżu Chamounix. Oderwały się tam olbrzymie masy lodowca Bionnassay od gory Mont-Blanc, a spadając, zburzyły doszczętnie zakład kąpielowy Saint-Gervais jako i osadę górską Dufayet. Masy lodowców wpadły nasamprzód do rzeki Bionnay, ktora i tak już przedtem wezbrała wskutek deszczów. Rzeka ta porwała za sobą prawdziwe góry lodowcowe na dół w dolinę, a mianowicie i do wsi Bionnay. Około godz. 3 rano masy napiętrzone zwaliły się na zakłady kąpielowe w Saint-Gervais. Strumień przepychał ogromne masy lodowcowe w poprzek przez podwórza zakładowe, zmiatając budynki. W czasie katastrofy poniosło śmierć około 200 osób; dotychczas odnaleziono 140 zwłok. Z 54 urzędników kąpielowych uratowało się tylko 9. Z całego zakładu nie pozostało prawie ani śladu. Połowa wsi Dufayet również zniknęła. W rzece Arwie pływają topielcy i niezliczona liczba różnych przedmiotów. Wogóle ze wszystkich urzędników i gości w Saint Gervais pozostało przy życiu tylko 25 osób; zwłoki potopionych i zabitych są strasznie pomiażdżone, tak że większej części wcale nie można rozpoznać. Pewna liczba wyratowanych osób poniosła cięższe lub lżejsze rany. Zorganizowano już komitet ratunkowy; ludność okoliczna okazuje wielki zapał i poświęcenie w odszukiwaniu ofiar.

O saméj katastrofie w Saint-Gervais opowiada jeden z naocznych świadków, który cudem prawie się uratował: Wszyscy w zakładach spali, kiedy nagle około godziny 3 rano dało się uczuć niezmierne wstrząśnienie i straszny łoskot. Pospieszyłem ku oknu i spostrzegłem zbliżający się pieniący potok z kawałami oderwanych skał, — czułem instynktownie prawie, że dom nasz zwali się i miałem zaledwie dość czasu, aby wyskoczyć przez okno i ratować się ucieczką; po drodze spotkałem pewną damę, która wyszła z drugiego domu i razem z nią schroniliśmy się na skałę.“

Wieś Le Fayet, położona głębiej jeszcze w dolinie, niż Saint Gervais, częścią także zupełnie zniszczona. Zresztą rozmiarów katastrofy dotychczas niepodobna jeszcze dokładnie ocenić, ponieważ lodowiec po drodze ku Saint Gervais musiał także zrobić znaczne spustoszenia. Dotychczas wiadomo tylko, że wieś Bionnay została zupełnie zmyta ze stoku gory, ale na tej saméj prawie drodze od lodowca do Saint Gervais, wynoszącéj około 8 kilometrów, znajdują się jeszcze miejscowości Vernet, Les Praz, a głębiéj w dolinie, albo raczéj w górskiéj rozpadlinie Bionnassay i Ormay. Można przypuścić, że miejscowości te częścią także uszkodzone zostały.

Miejsce katastrofy strasznie wygląda: zamiast zakładów kąpielowych — ruiny; wiele osób poranionych, które przy życiu zostały, błąkają się w rozpaczy; w rzece Arwie pływają topielcy i niezliczona liczba szczątków mebli i innych przedmiotów. Żandarmi stoją wzdłuż rzeki i łowią zwłoki topielców; zwłoki strasznie pomiażdżone, tak, że po większéj części wcale nie można ofiar rozpoznać.

Z niezmierną szybkością zorganizowano komitet ratunkowy; ludność okoliczna okazuje wielki zapał i poświęcenie w odszukiwaniu ofiar. Niestety ratunek w wysokim stopniu utrudniony, skutkiem niewygodnego położenia Saint Gervais i Le Fayet.

W liczbie ofiar jest wiele rodzin z Paryża, Lugdunu i Genewy.

---

(Za wszelkie niżéj podane ogłoszenia i nadesłane reklamy, redakcya pisma naszego nie bierze żadnej odpowiedzialności.)

## Wiadomości handlowe.

**Kurs papierów** dnia 16 lipca

| | |
|---|---|
| Poznańskie listy zastawne 4% | 102,00 |
| Poznańskie listy zastawne $3^1/_2$% | 96,20 |
| Poznańskie listy rentowe | 102,75 |
| Listy zast. 5% Królestwa Polskiego | 64,50 |
| Listy polskie likwidacyjne | 62,40 |
| Rosyjskie banknoty za 100 rs. | 201.15 |
| Rosyjskie $4^1/_2$% listy zastawne | 96.40 |
| Zach. pruskie $3^1/_2$% obligacye | 96,00 |
| Zach. pruskie $3^1/_2$% listy rentowe | 96,25 |
| Rosyjska pożyczka 4% 1880 | 94,30 |

Rumuny 4% pożyczka 1880 82,20
Austryackie banknoty 170.45
Węgierska 4% rentazłota 93,90

Poznań, dnia 15 lipca

| Ceny ustanowione przez komisyę targową. | Za 100 kilogramów piękny mrk. | fen. | średni mrk. | fen. | pośledn. mrk. | fen |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Słomy . . . . . . . . | 5 | 00 | 4 | 75 | 4 | 50 |
| Siana . . . . . . . . | 4 | 50 | 4 | 25 | 4 | 00 |
| Kartofli . . . . . . . . | 6 | 50 | 5 | 75 | 5 | 50 |
| Skopowiny za 1 kg. = 2 ft | 1 | 40 | 1 | 35 | 1 | 30 |
| Wieprzowiny „ | 1 | 30 | 1 | 25 | 1 | 20 |
| Wołowiny „ | 1 | 40 | 1 | 35 | 1 | 30 |
| Cielęciny „ | 1 | 30 | 1 | 25 | 1 | 20 |
| Masła „ | 2 | 20 | 2 | 00 | 1 | 80 |
| Jaja za kopę . . . . . | 2 | 40 | 2 | 35 | 2 | 30 |

Berlin, 16 lipca. (Doniesienie urzędowe.)

Pszenica za 1000 kilogr. w miejscu płacono 164—204 mrk — podług jakości.

Żyto za 1000 klg. w miejscu podług jakości, miejscow od 172—186—000.

Owies za 1000 klgr w miejscu płacono 155—175 mr podług jakości.

Jęczmień za 1000 klg. w miejscu płacono 125—185 m podług jakości.

Groch do gotowania 180—230 m. na paszę 155—169 m

Petroleum za 100 klg. z beczką w ilościach m. 50 cent w miejscu 21,4 m.

Okowita nieopodatkowana 50 m., na listopad 000—000 nieopodatkowana 70 m. na lipiec 36,6—35,2—35,2—35,0 na grudzień-styczeń 34 6—34,8—34,7 m.

Poznań, dnia 18 lipca. — Ceny targowe.

| Ceny ustanowione przez stowarzyszenie kupieckie. | Za 100 kilogramów. piękn. mrk. | fen. | średn. mrk. | fen. | pośledn. mrk. | fen |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Pszenicy nowéj . . . . . | 21 | 80 | 21 | 20 | 20 | 80 |
| Żyta . . . . . . . . . | 18 | 80 | 18 | 40 | 18 | 00 |
| „ nowego . . . . . . | — | — | — | — | — | — |
| Jęczmienia . . . . . . | 16 | 00 | 15 | 00 | 14 | 50 |
| Owsa nowego . . . . . . | 16 | — | 15 | 50 | 15 | 00 |
| Groch . . . . . . . . | 00 | 00 | 00 | 00 | — | — |
| Kartofli . . . . . . . . | 5 | 00 | 4 | 50 | — | — |

Okowita w miejscu bez beczki 50-ta 54,70 m.
70-ta 34,90 m.

Szczecin, 16 lipca

Żyto za 1000 kilogr. w miejscu krajowe 170,00—183,00 na czerwiec 000,00—000,00—000,00 m.

Pszenica za 1000 klgr. w miejscu biało-żółta nowa płacono 190,00—200,00 na marzec 000,00—000,00 na grudzień styczeń 000 00—000,00—000,00—000,00 m.

Owies płacono za 1000 klgr. w miejscu 148 155 m.

Jęczmień bez zmiany za 1000 kilogr. w miejscu piękny 145—174 marek

Wrocław, dnia 16 lipca. — Ceny targowe

| Stałe ceny ustanowione przez deputacyą targową. | W markach i fenygach za 100 kilogramów. piękny | | średni | | pośledni | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Pszenica biała stara . . | — | — | — | — | — | — |
| „ nowa . . | 20 | 50 | 19 | 40 | 17 | 50 |
| „ żółta stara . . | — | — | — | — | — | — |
| „ nowa . . | 20 | 40 | 19 | 40 | 17 | 50 |
| Żyto . . . . . . . . . . | 18 | 90 | 17 | 80 | 16 | 50 |
| Jęczmień nowy . . . . . | 16 | 00 | 15 | 10 | 14 | 10 |
| „ stary . . . . . | — | — | — | — | — | — |
| Owies nowy . . . . . . . | 15 | 20 | 14 | 40 | 13 | 40 |
| Groch . . . . . . : . | 21 | — | 19 | 50 | 18 | — |
| Rzep . . . . . . . . . . | 00 | 00 | 00 | 00 | 00 | 00 |
| Łubin żółty . . . . . . | — | — | — | — | — | — |
| Łubin niebieski . . . . . | — | — | — | — | — | — |



Nakładem i czcionkami Dr. R. Szymańskiego w Poznaniu. — Redaktor odpowiedzialny Józef Siemianowski w Poznaniu.